

I Konkurs Literacki Małopolskiej Izby Lekarsko Weterynaryjnej 2023/2024

Miejsce drugie (ex aequo) - lek wet Krzysztof Hruboń

WĄTPLIWOŚCI

Pamiętam, jak jeszcze na studiach, jedna pani profesor mądrze przedstawiła nam na wykładzie etapy pewności siebie w zawodzie:

- uzasadnionego braku pewności siebie
- nieuzasadnionej pewności siebie
- nieuzasadnionej niepewności siebie
- uzasadnionej pewności siebie.

Coś jak efekt Dunninga-Krugera.

Wydaje się, że wszystkie etapy już odhaczone.

Tylko skąd dalej w głowie tyle pytań?

Miejsce: Rzeczypospolita, miejscowość gminna pod miastem powiatowym, gabinet weterynaryjny (i okolice).

"Czy to aby nie za wcześnie?"
Myślę słysząc dzwonek we śnie.

Telefon. Pewnie znowu jakaś pierdoła. Drugie połączenie. Nie będę wyjmował kleszcza po północy! Trzecie połączenie. Zwężona światłem ekranu źrenica rejestruje nieznaną numer. Przy trzecim się łamię.

- T..tak, sł..ucham?
- Szynszyla nie może urodzić. Już którąś godzinę prze i nic nie wychodzi.

Jadę. Kolejny raz zapowiada się wyjęcie połowy nocy z życiorysu.

Po 20 minutach jestem w gabinecie. Klient jeszcze nie dotarł, będzie czas na przygotowanie sali. Narzędzia wyjęte, stół gotowy, miejsce dla osesków również, czekam. Mija następne 20 minut. Tym razem to ja dzwonię, ale nikt nie odbiera pomimo sygnału. Droga? Stres? Droga w stresie? Po kolejnym kwadransie próbuję ponownie. 5 razy. Godzinę później wracam do domu.

Przy spotkaniu, dwa miesiące później, właścicielka radośnie informuje, że szynszyla jednak urodziła sama, więc już nie chciała zawracać głowy.

Czy pokładam zbytnią wiarę
w ludzi różnych, którzy wcale
zwierząt mieć już nie powinni?
Tylko, czy są oni winni?

Pani przed trzydziestką. Dorosła, po maturze, żona, matka, właścicielka 3 psów. Jeden z nich, starsza suczka ma padaczkę. Przerobiliśmy już ze dwa schematy leczenia, efekty jakieś były, ale niewielkie. Zaczynamy trzeci, idziemy w klasykę. Okrągłe tabletki, z racji na masę psa musimy dzielić na 3 części.

- Proszę podawać 1/3 tabletki dwa razy dziennie, o stałych porach, co 12 godzin.
- Jak to dawać? - pyta pani ospale.
- Dwa razy dziennie, po 1/3 tabletki.

- Nie rozumiem.
 - Rano i wieczorem, po 1/3 tabletki.
 - 1/3?
 - Dokładnie tak.
 - Nie rozumiem.
 - No musi pani podzielić tabletkę, i zarówno rano, jak i wieczorem podać po 1/3 tabletki.
 - 1/3?
 - Tak, 1/3.
 - Co to znaczy?
 - ... No dzieli pani tabletkę na 3 równe części. Jak pani to zrobi, to każda z nich jest jedną trzecią. I to jest dawka do podania dla pani psa.
- Karina patrzy na mnie wzrokiem nieskażonym myślą.
 Suczka patrzy jakby z drwiną. "Tak łatwo, to Ci, doktorku, nie pójdzie."
 Kartka, długopis. Okrąg, 3 kreski, jedno pole w kropki, drugie w paski, trzecie w krzyżyki.
 - Tu ma pani narysowaną tabletkę, trzeba ją tak podzielić. Zarówno to, jak i to, jak i to, to jest jedna trzecia. Czyli w jednej tabletkce ma pani 3 kolejne dawki.
 - Aha. - powiedziała pani jakoś bez przekonania i jakby na odczep.
 "Aha. Takiego wa.." - zerknęła suczka na odchodnym.
 I poszły.

Czy ukryję zaskoczenie,
 kiedy klient bity w ciemę,
 leczysz puszką z wielką swadą
 nie miarkując się przesadą?

- Panie doktorze, przyszedłam do pana z moim kotkiem, ponieważ ma problem z oczkami.
 - A cóż to za problem?
 - A bo on ma conjunctivitis.
- Hę, hę – zaśmiał się hrabia po francusku. A ja wiem od kogo wy są.
- Pani ze służby zdrowia?
 - A tak! Pielęgniarką jestem.
 - To bardzo się cieszę. To od razu podnosi nam poziom rozmowy.
- Uśmiech zagościł na licu białogłowy.
- Obejrzyjmy kotka. No faktycznie ma mocno zaczerwienione spojówki, jest trochę ropy. Od dawna tak to wygląda?
 - No tak już z półtorej miesiąca będzie.
 - To czemu tak długo pani zwlekała?
 - A nie, nie. Ja go leczyłam! Takie o, krople, podawałam. Tylko poprawy nie widzę. W zasadzie, to jakby mu się pogarszało.
 - Proszę pani, ale to jest przeterminowane.
 - Ale to miałam w domu.
 - Ale to jest przeterminowane 9 lat!

Czy wystarczy mi zapachu
 dla klienta, co pomału
 kluczy w bajce o tem
 co też zrobił ze swem psem?

- Dzień dobry, bo ja chciałam preparat dla psa.
- Jaki preparat?

- No dla psa.
- O jaki preparat pani chodzi?
- No taki na pchełki.
- A ile piesek waży?
- Młody jest.
- Ile waży?
- Brązowy taki.
- Ile waży?
- No taki ja wiem? Koło 2 lat.
- Ile piesek waży?
- No do kolan będzie.
- Proszę mi powiedzieć ile pies waży.
- No co pan tak pyta i pyta o tą wagę? A skąd ja mam to niby wiedzieć?
- Proszę pani, waga jest mi potrzebna do odpowiedniego dobrania produktu dla pani psa. Z naszej dwójki tylko pani nam może odpowiedzieć na to pytanie.
- No to, tak coś koło 10 kilo.
- To niestety jest wartość graniczna. Jest do 10, czy powyżej?
- Ech. No niech będzie, że do 10.
- Woli pani kropelki, czy tabletki?
- A bo to ja wiem, czy zje tabletkę?
- Czyli kropelki?
- A bo ja wiem, czy to zadziała?
- Zarówno kropelki, jak i tabletki powinny być skuteczne.
- To może tabletkę.
- Proszę bardzo.
- A ja mam do pana jeszcze takie pytanie. Bo ten pies się strasznie drapie. I myśmy go już kąpali, kropelki ze sklepu kropiliśmy, ale ja tam dalej widzę, że po nim pchły biegają.
- Ten preparat, który pani dałem powinien pomóc.
- No tak, ale on na pupie to ma ropę, a włosów to tam już wcale nie ma. A jak tą ropę wyplukaliśmy, to tam żywe mięso jakby było.
- A to w takim razie potrzebne jest dodatkowe leczenie. Niestety w takim przypadku muszę panią zaprosić z pieskiem do gabinetu.
- No ja wiedziałam! Bo mąż to ostatnio mu tam spirytusem lał, a ten pies wtedy strasznie szalał.

Czy zachowam zimną głowę
kiedy widząc ludzkie sprawy,
przy zwierzętach w różnym stanie,
stracę chęci do zabawy?

Człowiek dzwoni do gabinetu. Płaczącym się głosem prosi o wizytę domową do pieska, sam nie ma możliwości dojechać. Prawdopodobnie chodzi o eutanazję, choć pan miodousty nie jest. Trudno jest mu wyjaśnić szczegóły.

Dojeżdżam na miejsce około godziny dziesiątej rano. Stary płot murowany z betonitów nie ma pręseł, bramy, ani furtki. Dwie wąskie ścieżki gruntu zagłębiają się na półtorej długości samochodu w gęstwinę trawy sięgającą pasa. Krzywym chodnikiem przechodzę obok domu wykonanego z tego samego budulca co płot. Zmierzając do wejścia na tyłach widzę oborę – ściany ze zlasowanej cegły, drewniane wrota wiszące na jednym zawiasie, dwuspadowy dach o wklęsłych płaszczyznach. Długo nie wytrzyma. Przed oborą, na niewielkim klepisku, stoi solidny, acz

poczerniały, nieco zmurszały pieniek. W pieńku wbita zardzewiała siekiera na długim, poszarzałym stylisku. Przynajmniej jak Jakub i Semen wyskoczą zza węgła, to nieuzbrojeni.

Wchodzę po schodach z gołego betonu. Bariereki nie śmiem dotknąć, nie będę ryzykował tężca. Staję przed lekko uchylonymi drzwiami. Kable od dzwonka, bez izolacji, chaotycznie wystają z puszek. W wąskiej szparze wejścia ciemność.

– HALO! Ja do pieska przyjechałem!

Cisza.

Pukam.

Jak makiem zasiał.

ŁUP, ŁUP – nie daję za wygraną.

– Proszę wchodzić. - dochodzi z wnętrza słaby głosik. Chyba jakaś babuleńka.

Raz kozie śmierć - myślę przełykając ślinę. Wchodzę.

Przeciągle skrzypiąc skrzydłem odsłaniam ciemny korytarz. Zacieki na ścianach, posadzka wyłożona odstającymi na rogach płytkami z PCV – kiedyś takie widziałem w starej, opuszczonej szkole. Po przejściu holu trafiam na kuchnię. Niegdyś białe meble mogą pamiętać czasy wojny. Literalnie. Takie same miała moja prababcia w mieszkaniu w kamienicy. Kluczę między różnej maści odpadkami zalegającymi na podłodze. A to opróżniona metalowa puszka, a to słoik z resztkami zawartości, a to znowu reklamówka z miękkim czymś, jakieś obierki. Silnymi szarpnięciami odklejając podeszwy od tworzywa brnę w stronę dwuskrzydłowych, przeszklonych drzwi na przeciwległej ścianie. Ościeżnica straszy upstrzeniami licznych kropek kornicznych nerek. Ha! Lite drewno, nie to co tera robio.

Mijając portal wnikam do ostatniej komory. Gęstość zaścielenia podłogi wzrasta. Zapach przetrawionego alkoholu i niemytego ludzkiego ciała wwierca się w nozdrza. Cztery wersalki, po dwie na bocznych ścianach stanowią większość umeblowania. Pierwsza prawa: jakaś parka zalicza zgon. Wychudzona, naga noga pani w nieokreślonym wieku zarzucona na wysokości pasa pana w pozycji horyzontalnej. Ręka na jego kłacie, dłoń wpleciona we włosy. Druga prawa: nieco starszy pan, również w delirium, w pozycji brzusznej. Pierwsza lewa pusta. Druga lewa: leciwa pani o aparycji egipskiej mumii – jedyna przy świadomości. Do przeciwległej ściany dosunięty jeszcze krzywy stół.

– Dzień dobry, ja do pieska, jakiś pan do mnie dzwonił. - zwracam się do staruszki.

Zaczyna coś bełkotać i idzie do stołu. Pochyla się i powoli, acz metodycznie, wysuwa spod niego kartonowe pudło 30 na 40 centymetrów. W pudle futro. Dopiero po chwili orientuję się, że to zwierze, i że ono jeszcze dycha. Położyłbym skrzynkę z lekami na podłodze, ale boję się coś zawlec do gabinetu. Nie ma też pewności, czy udałoby mi się ją odlepić. Proszę o wyniesienie pieska na świeże powietrze.

Na podwórku wydaję psa z kartonu. Shih-tzu, leciwy, niedożywiony, odwodniony chłopak z raną uda. Widać, że stara i powikłana. Oczy przesłonięte skorupą z włosów i ropy. Po odmoczeniu całkiem mętne rogówki. Mocznicowy zapach aż szczypie w oczy, wysoka gorączka, świadomość ograniczona.

Z babcią rozmawiam o możliwościach terapeutycznych. Grochem o ścianę.

– Wnuczek jest właścicielem.

– W domu?

– To ten co leżał na kanapie z matką.

Z matką? Dobrze słyszałem?

– Budzić wnuczka! Trzeba podejmować decyzje.

Pani wraca po chwili. Za nią wlecze się on. Wyszedłszy na słońce Vlad mruży czerwone oczy i krzywi prawie bezzębne usta. Długie, rzadkie, tłuste włosy lepią mu się do czoła, policzków, szyi. Łyskając centymetrowymi, czarnymi paznokciami jegomość odgarnia kosmki bladymi palcami za uszy.

Ponownie tłumaczę możliwości leczenia. Ciężko mi się oduczyć idealizmu. Może jednak dotrze? Płonne nadzieje. Pan kiwa głową patrząc prosto w oczy nierozumiejącym, usłużnym

wzrokiem alkoholika. Dowiaduję się, że facet ma 22 lata. Nie wygląda. Nestorzy mojej rodziny są mniej zniszczeni życiem niż ten człowiek.

A psa szkoda. Jakby się nim porządnie zająć to może by miał jakąś szansę. Niewielką, ale zawsze. Może by zaangażować jakieś służby? Gminę? Niedaleko mieszka sołtys! Dzwonię najpierw do niego, poznaliśmy się kiedyś.

Okazuje się, że rodzinka jest w okolicy znana. Nałogowcy, raczej bez perspektyw. W trakcie rozmowy telefonicznej matka wypelza z domu. Podchodzi do syna siedzącego na jakimś zydłu. Wspólnie odpalają dymka. Przytula się do niego, głaszcze palcami po szyi, szepce coś. Całuje w ucho. Wspólnie śmieją się brzydko, przekornie, złowieszczo. Synalek patrzy na mnie i wzrok nie jest już usłużny.

Ja się do was, cwaniaczki, tyłem nie odwrócę.

Gmina nie zainterweniuję. Policja? Bywa tu regularnie. Pomoc społeczna? Odwiedzają, ale nie psa. Chciałoby się nie wybierać, jak wiedźmin, między mniejszym złem, a większym. Niestety czasem trzeba. Czasami również pro publico bono, bo właściciel nie ma pieniędzy, żeby zapłacić choćby za same leki.

Czy to można winić ludzi
kiedy zwierza zdrowie ludzi?

Dryń, dryń.

- Dzień dobry, gabinet weterynaryjny "Fantasmagoria", słucham.
- Dzień dobry, panie doktorze, bo ja mam taki problem z psem.
- Słucham, co się dzieje?
- Bo on tak leży, wstać nie może, boli go coś chyba. No i ma, tam między nogami, duży obrzęk. Czy pan mógłby przyjechać?
- Pewnie bym mógł, ale dopiero za jakieś 3-4 godziny, bo mam poumawianych pacjentów.
- O kurcze! To ja nie wiem, czy on wytrzyma tyle czasu, bo widać, że strasznie go boli. Panie doktorze, a co to może być jak on ten obrzęk ma i wstać nie może?
- Świetne pytanie! Złamanie kości prącia, wodniak jądra, nowotwór, zapalenie worka napletkowego, światło Jowisza padające na gaz z bagien, HGWitis?
- Przez telefon nie jestem w stanie panu odpowiedzieć. Nie jest to moje niechciejstwo, tylko dopiero po zbadaniu mogę coś więcej powiedzieć. Po pana opisie, to raczej sugerowałbym wizytę w gabinecie, bo ciężko jest mi przewidzieć z czym mamy do czynienia.
- O kurcze, co tu zrobić?
- No bez spotkania się nie obędzie. Jak skończę wizyty, to mogę podjechać, ale lepiej zapraszam pana z psem do gabinetu.
- Ojej, ojej. No i co robić?
- Proszę pana, zapraszam z psem do gabinetu. Może pan przyjechać wcześniej. Jeśli się coś w trakcie zwolni, to przyjmę pana wcześniej.
- O kurcze. No i co teraz?
- Zapraszam z psem.
- No dobrze, jakby się panu coś zwolniło, to proszę dać znać.
- Dobrze, ale w razie czego zapraszam, po prostu, do gabinetu.
- Traf chciał, że termin się zwolnił. Tak więc dzwonię do stroskanego właściciela. A nuż (widelec) uda się pomóc bestyi w cierpieniu.
- Dzień dobry ponownie. Mógłbym pana z pieskiem zaprosić na godzinę 12.
- A wie pan co, on już zaczął znowu normalnie chodzić. I obrzęk to mu już prawie zszedł. To jakby coś się jeszcze działo, to ja wtedy, w razie czego, zadzwonię.
- Słowa do przypomnienia na dziś: wzwód, orgazm.

Czy właściwe są emocje
kompetentnych osób w fachu
kiedy klient szuka wsparcia
i ostoi w trakcie krachu?

Państwo z kameleonem konsultowanym już u specjalisty z powodu nowotworu gałki ocznej. Niestety, z racji na stan ogólny, jaszczur nie kwalifikuje się do zabiegu. Próby doprowadzenia go do stanu dającego szansę na przejście operacji spełzły na niczym. Ze względu na dobrostan Stefana zapada decyzja o poddaniu go eutanazji. Właściciele roztrzęsieni, z trudem trzymają emocje na wodzy. Wilgotnym, przekrwionym wejrzeniem po raz ostatni spoglądają na zimnokrwistego pupila i wychodzą do poczekalni.

Trzymam Stefana na rękach.

Jest On.

Jestem Ja.

Wolno sunąć po mym przedramieniu patrzy prosto na mnie. W jedynej zdrowej źrenicy znajduję ...
Prośbę? Oczekiwanie? Akceptację? Nie ma lęku.

Podaję narkozę.

W ostatnim błysku świadomości, leżąc już na boku, Stefan chwyta mnie przednią łapką za palec wskazujący.

I ścisła.

Zaraz puszcza odpływając w niebyt, a ja przeprowadzam go na drugą stronę.

Czy ten promyk światła w mroku
od klienta, który w szoku
za ratunkiem zwierza goni
dulszczyznę innych przysłoni?

Samotna pani emerytka codziennie chodzi z Fafikiem na długie spacerzy. W końcu najbliższemu towarzyszowi codzienności należy się odpowiednia uwaga. Razem jedzą, razem śpią, to i razem na przechadzki wypada się wybierać.

Niestety, któregoś dnia, nagle, Fafik zaniemógł. Nóżki zaczęły mu się plątać, posmutniał i jeść nie chce. Właścicielka z wrodzonym sobie wigorem nie zasypia gruszek w popiele i od razu z psem do gabinetu. Badanie neurologiczne wskazuje na ucisk na rdzeń kręgowy w szyjnym odcinku kręgosłupa. Rokowanie ostrożne, konieczna szybka diagnostyka i prawdopodobnie leczenie zabiegowe. To nie tutaj takie rzeczy, to nawet nie w pobliskim mieście. Trzeba się dalej pofatygować i to szybko, bo czas nagli.

Czy pani jedzie?

Jakie koszta? Jakie szanse? Jaka alternatywa? Czy można coś na miejscu? Czy to boli?

Pani jedzie.

Jak się okazuje słusznie. Przemieszczony krążek międzykręgowy i krwiak w kanale kręgowym to nie byle drobnostka. Możliwości finansowe ograniczone, ale decyzja podjęta. Zabieg wykonany.

Fafik od około roku dalej chodzi na spacerzy ze swoją panią, bo trafił dobrze. Najlepszy przyjaciel człowieka trafił na przyjaciela.

Czy zależy mi za mało
gdy usłyszę co się stało?

Terapia uporczywa to nie jest coś, co chciałoby się oglądać. W naszej branży dążymy do "ograniczenia cierpienia", tak więc nigdy palca nie przyłożę do podobnej praktyki – tak sobie obiecałem po tym, co raz, jeszcze jako student, miałem okazję zobaczyć na praktykach.

Państwo trafiają do gabinetu z leciwą suką owczarka collie z narastającym brakiem apetytu, utratą masy ciała i żółtaczką. Ale jaką? Pies z błonami śluzowymi i białkówkami w kolorze dojrzałej pomarańczy. Odcień przywodzący na myśl zachód słońca podziwiany z plaży. Ten głęboki pomarańcz zaraz przed przejściem w różowość zmierzchu.

Diagnoza: zapalenie dróg żółciowych i początek stłuszczenia/marskości wątroby. Poza tym psica prawie nie widzi przez zaćmę, zwyrodnienia stawów biodrowych, niedowład tylnych kończyn, w paszczy znaczna parodontoza. Wyniki krwi nie napawają optymizmem. Rokowanie – ostrożne do złego.

Właściciele emocjonalni, ze zwierzęciem mocno zżyci, o eutanazji nie chcą nawet słyszeć. Leczymy.

Przez 7 dni w zasadzie brak klinicznej poprawy, pies jeszcze stracił na masie, w domu tylko zalega. Codziennie, zwiększając intensywność perswazji, nakłaniam do podjęcia decyzji ostatecznej. Dziesiątego dnia stawiam sprawę na ostrzu noża. Ze względu na dobrostan zwierzęcia, przy braku zgody właściciela na eutanazję, odmawiam dalszego leczenia pacjenta.

Półtorej godzinna dyskusja z ludźmi, którzy nie chcą się pogodzić z wyższą koniecznością łamie moją silną wolę. Bez przekonania, świadom porażki wobec interlokutora i odwleczenia w czasie nieuniknionego przystaję na dalsze leczenie.

Czternastego dnia suka interesuje się jedzeniem. Niby mało, ale wyraźne. Piętnastego zjada więcej i zaczyna się przemieszczać. Trzy dni później wychodząc na spacer goni za piłką.

Intensywna terapia trwała ponad 2 miesiące i mniej intensywna w zasadzie do końca życia. Nie wiem jak ta suczka dała radę, ale dała. Przez dwa kolejne lata widywaliśmy się regularnie na kontrolach w gabinecie, aż do ostatniego spotkania po ukończeniu szesnastu wiosen. I nigdy nie okazała mi najmniejszego nawet zaufania. Chyba nie spodobało jej się to leczenie.

Gdzie przebiega granica, że to już? Albo, że to jeszcze nie? Czy aby nie za wcześnie chciałem odpuścić? Całe szczęście przegrałem dyskusję.

Czy zależy mi za bardzo
kiedy ludzie zwierzem gardzą?

Na działce za domem Sebastian zbudował sobie coś jakby komórkę z nieheblowanych desek. Trzy na trzy metry, trzy wysoko. W komórce wysypał słomę, wstawił wiadro z wodą, na ścianie zawiesił paśnik. Nawet lizawkę przywiązał do tegoż. Tak przygotowaną stajnię obsadził koniem.

Popołudnia i weekendy Sebastian spędzał w siodle. Z nagim, muskularnym, opalonym torsem, przemierzając drogi i bezdroża gminy wyglądał nie jak sołtys, nie jak wójt nawet. Wyglądał jak Władimir Władymirowicz na stepie.

Dni leciały, młody, jednak już dorosły samiec roztaczał swój czar po okolicy. Niektóre białogłowy wdychały. Niestety zaczynało brakować czasu dla szkapy. Przejazdki stały się mniej regularne. Żeby kuniowi samotność za bardzo nie doskwierała troskliwy właściciel sprowadził do towarzystwa, jak to się często robi, kozę. Jak już jest koza, to mogą być i koziołki. Żeby były koziołki, to musi być ciąża. Po nitce do kłębka - docieramy do etapu porodu.

W godzinach późno wieczornych telefon - bo koza nie może urodzić. Szybka wycieczka do gabinetu po sprzęt, leki i meldunek u Seby.

Faktycznie, dobrze nie jest. Koza zalega. W świetle latarki, bo innego w "stajni" brak, wydaje się zasinią. Znieczulenie, cięcie, wyjęcie i otwarcie macicy. Wtem fetor gnijącego mięsa wykręca nozdrza i sprowadza ciemność, bo świecący odwrócił się w torsjach.

Po przywróceniu światła próbuję ewakuować martwe, zielone płody, co nie jest proste, bo skóra odchodzi od ciała.

– Panie, kiedy ona zaczęła rodzić?

– A ze trzy dni temu.
Matka przestała oddychać w trakcie szycia powłok brzucha.

Czy to norma jest właściwa
kiedy klient poużywa
sobie na mnie podług woli,
że on żyć mi nie pozwoli?

1. maja. - pierwsza od dłuższego czasu okazja do spędzenia czasu z rodziną. Śniadanko zaliczone, przymiarka do kawusi, a tu nagle telefon. Głowa walczy z ręką. Zwoje nerwowe tracą poziom koncentracji zwiedzione aromatem płynącym z otwartej puszki kawy. Ręka wygrywa – połączenie odebrane. Roztrzęsiony damski głos w słuchawce strzela słowami jak pepesza w rękach Gustlika:

– Proszę pana, byliśmy u pana z psem, leczył go pan. On teraz wymiotuje, wymiotuje z krwią, ja nie wiem co robić

– Zaraz, chwileczkę. Z kim rozmawiam? Jaki pies? Kiedy leczyłem?

– No leczył go pan, podawał pan jakieś leki, a on teraz RZYGA KRWIĄ! O Jezu! O Boże! Jakieś antybiotyki były

Nie wiem o co kaman, ale wygląda no to, że sprawa nie jest błaha. Do tego, najwyraźniej, mój pacjent. Wypadałoby poratować kobitę.

– Jak szybko może być pani w gabinecie? Przez telefon nic nie pomogę.

– Ja już rozmawiałam z innym weteryniarzem. - Słysząc wyraźną zmianę w tonie. Staccato cedzonych głosek niczym werbel wbija się w czaszkę – I on mi powiedział, że to po tym antybiotyku CO PAN GO DAŁ.

–

Jaki, qfa, antybiotyk powoduje rzyganie z krwią?

– Jak ten pies nie przeżyje, to ja panu NIE DAM ŻYĆ!!!!!! pip, pip, pip
Żaden aromat nie mąci już pracy zwojów.